Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 21. WARSZAWA, 3 listopada 1926 r. ROK XIX

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH



ŚW. HUBERTOWI CZEŚĆ!

1926

Egzystuje od 1830 roku

HURTOWY SKŁAD BRONI

Robert Ziegler

SKLEPY DETALICZNE:

Warszawa, ul. Trębacka 10, tel. 21-94.

Łódź, ul. Piotrkowska 114, tel. 10-75.

Konto czekowe P. K. O. — 26 .7.



Poleca P. P. myśliwym bronie własnej fabryki w Liége:

marki „GRYF"

marki „SYRENA".

W roku 1911 założona została w Liége przy współudziale naszym fabryka broni luksusowych **„Syrena Hammerless Arms Co"**. Wybuch wojny światowej stanął na przeszkodzie szybko postępującemu rozwojowi firmy, ale już bronie, jakie zostały sprzedane na rynku polskim przed wojną, zyskały sobie wśród pp. myśliwych uznanie, szczególnie za doskonały strzał. Po wojnie produkcja została wznowiona dopiero w 1924 r. przy zupełnem jej zreorganizowaniu, zgodnie z ostatniemi zdobyczami techniki broniowej. Przy jednoczesnem zaangażowaniu najwybitniejszych sił fachowych, dało to możność wypuszczenia na rynek broni, które **wykwintem wykończenia, dokładnością odrobienia i znakomitością strzału** zadowolnią najwybredniejsze wymagania. Pierwszy, transport broni **Syrena**, sprzedany w ubiegłym sezonie, przyniósł nam szereg opinji pp. myśliwych, że bronie **„Syrena"** nie mają obecnie równych sobie na rynku polskim.

Bronie **„Syrena Hammerless Arms Co"** mają:

zamki: system oryg. HOLLAND & HOLLAND lub oryg. ANSON DEELEY;

zamknięcie: potrójne oryginalne PURDEY'A;

eżektory: ulepszone oryginalne HOLLAND;

lufy: z angielskiej stali najwyższych gatunków **COMPOUND STEEL CAP** lub **WHITWORTH**, łączone systemem DEMI-BLOC. Borowanie luf pełny choke. Przy kamerach wzmocnione przez tak zwane renforts;

grawerunek: artystyczny w najwytworniejszych rysunkach. Muszle pięknie cyzelowane. Wewnętrzne części kurków i eżektorów złocone.

Wszystkie bronie „SYRENA" są zaopatrzone w certyfikaty strzałów, wykazujące procentowo wysokość pokrycia i arkusze próbne, wydane przez **Państwowy Instytut Probierczy w Liége**, co daje gwarancję ich strzałów.

Polecam bronie „SYRENA" parami w kal. 12 i 16.

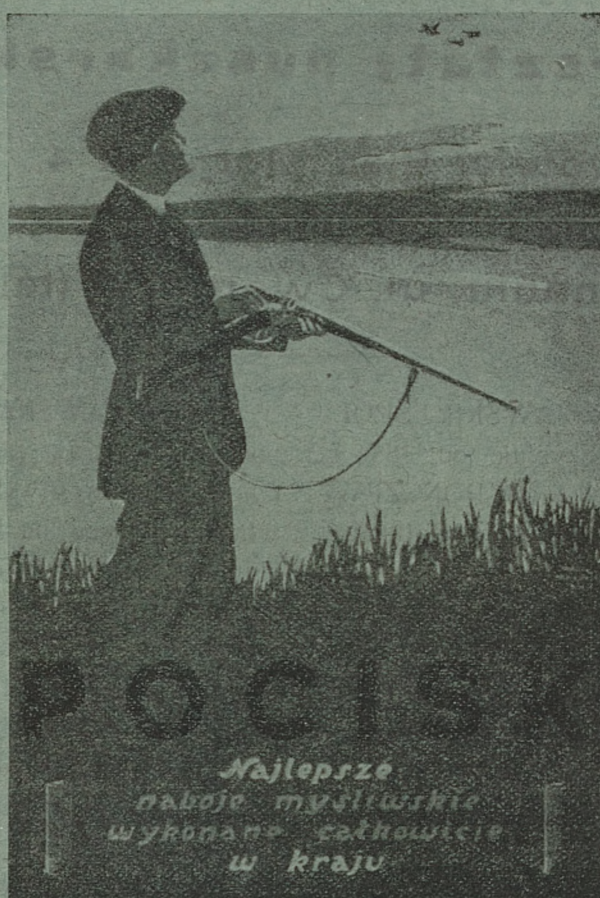
Specjalne katalogi broni „SYRENA" wysyłam na każde żądanie.

Pozatem fabryka w roku ubiegłym wypuściła na rynek bronie bezkurkowe w tańszem wykonaniu, ale ze specjalną uwagą, zwróconą na **dobry strzał** broni. Są to bronie marki **„GRYF"**. Dzięki swej przystępnej cenie bronie **„GRYF"** są bezkonkurencyjne w tym gatunku broni i dlatego w szybkim czasie znalazły duże rozpowszechnienie.

Przy zamówieniach broni **„GRYF"** należy wskazać żądane:

zamknięcie: GREENERA lub PURDEY'A;

osadę: pistoletową lub angielską.


POCISK
Najlepsze
naboje myśliwskie
wykonane całkowicie
w kraju

Warszawska Spółka Myśliwska

SKŁAD BRONI i AMUNICJI

WARSZAWA, Królewska 17, Telefony 19-17, Zarząd 78-27.

Firmowe naboje śrutowe własnego wyrobu maszynowego z kapiszonem „GEVELOT“ i prochem bezdymn. „ROTTWEIL“.

Warsztaty puszkarskie.

Filje:
- we Lwowie, Plac Marjacki 4.
- w Wilnie, ul. Wileńska 10.
- w Poznaniu, ul. Gwarna 12 (telefon 19-08).

Przedsiębiorstwo „WARSZAWSKIEJ SPÓŁKI MYŚLIWSKIEJ“ — egzystuje od 1884 r. Przez pierwsze lata pod firmą „B. RONCZEWSKI“, później zaś od 1904 roku, jako spółka firmowo-komandytowa.

Firma rozwinęła się dzięki uzyskaniu wyłączających przedstawicielstw na Polskę i Gdańsk pierwszorzędnych znanych fabryk broni i amunicji, jak np.: Lebeau, Stassart, Francotte — najsłynniejszych puszkarzy w Belgji: Sauer — znany z fabrykacji dubeltówek i sztucerów; Mauser — powszechnie znany z wyrobów rewolwerów, sztucerów i karabinów; Utendoerffer, jako znanych fabrykantów amunicji w Niemcech; Société Française des Munitions w Paryżu; fabryka prochu w Rottweil i innych.

Ponadto firma uzyskała monopol na wyroby słynnej fabryki „Fabrique Nationale d'Armes de Guerre Herstal lez — Liege“, która fabrykuje znane automaty „Browning“, (nazwa pochodząca od nazwiska wynalazcy). Browning jest wynalażcą słynnych pistoletów jego imienia, jak również śrutówek i karabinów automatycznych wyrabianych przez powyżej wymienioną belgijską farbykę, która ponadto wyrabia bezkonkurencyjne dubeltówki roboty mechanicznej, odznaczające się niezwykle dokładną i silną budową, przy względnie nizkich cenach.

„WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA“ pierwsza w kraju zastosowała elektroautomaty do wyrobu myśliwskich naboi śrutowych we własnej fabryce na Pradze, rozpowszechniając chlubnie znane w całej Polsce „Firmowe“ naboje, konkurujące z najlepszemi zagranicznemi wyrobami.

Prócz tego Spółka przystąpiła do budowy fabryki gilz myśliwskich mosiężno-tekturowych, przybitek i pudełek do pakowania.

W związku z tem zostało zakupionych kilkadziesiąt specjalnych i bardzo precyzyjnych maszyn najnowszego typu, które już w zimie bieżącego roku będą instalowane. Uruchomienie zaś fabryki nastąpi z wiosną roku przyszłego.

Produkcja obliczona jest nietylko na własne zapotrzebowanie, ale i na eksport.

Spółka używa polskiego prochu, czarnego, dymnego z fabryki Zagożdżon. Proch ten pod każdym względem nie ustępuje wyrobom zagranicznym. Brakuje nam jeszcze prochu myśliwskiego bezdymnego krajowej produkcji.

Chcąc obsłużyć całą Polskę — „WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA“, otworzyła filje w Poznaniu, we Lwowie i w Wilnie.

Prowadząc na szeroką skalę sprzedaż broni i amunicji — Spółka stała się regulatorem cen w tej branży na rynkach polskich.



MINISTER
ROLNICTWA I DÓBR PAŃSTWOWYCH

Kto z przyrodą obcuje poddaje się jej urokowi, co bezwzględnie uszlachetnia człowieka.

Wpływowi temu ulega bezwiednie łowiec, to też, rzec można, nie spotyka się myśliwego — mizantropa. Kocha on przyrodę, ludzkość i Stwórcę

Karol Niezabytowski

Warszawa
24 października 1926.

Aforyzm p. Ministra Rolnictwa i DP. napisany do święto-hubertowskiego numeru „Łowca Polskiego".

Dziesięcioro przykazań etyki myśliwskiej.

(Wielka ankieta „Łowca Polskiego").

Dziś, gdy współpracownicy obu łowieckich pism „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" oraz „Łowca Polskiego" stanęli przy jednym wspólnym warsztacie pracy — najwyższy czas zadać pytanie. któreby było rachunkiem sumienia w przeszłości, a drogowskazem w przyszłości: jakie są najważniejsze z przykazań etyki łowieckiej?

Pytanie to zadajemy i tym wielkim łowcom, którym św. Hubert dał możność rozkoszować się czarem rykowisk jelenich i głuszcowych toków i tym szarym rzeszom myśliwskim, w których sercach płonie święty ogień namiętności łowieckiej, a którzy myśliwski głód sycić mogą jedynie drobną zwierzyną.

„Łowiec Polski" zbyt często może dotąd przemawiał jedynie do pierwszych, zapominając o drugich. Zbyt często może pisał o grubym zwierzu rzadkim i niedostępnym dla szerokich rzesz, poświęcając za mało miejsca drobnej zwierzynie, będącej chlebem powszednim szarego ogółu myśliwych. Obecnie nawraca do życia, do palących spraw chwili. do zagadnień, które obchodzą wszystkich myśliwych i tych wielkich i tych mniejszych.

Pierwszym krokiem tego nawrotu jest obecna ankieta. Chodzi o skrystalizowanie pojęć, o jasne i niebudzące wątpliwości wytknięcie torów, któremi powinno kroczyć prawidłowe myślistwo w Polsce.

Zadajemy więc ogółowi prawidłowych myśliwych polskich doniosłe pytanie:

„Jakie jest dziesięcioro najważniejszych przykazań etyki myśliwskiej"?

Niech sprawę tę na zebraniach dyskusyjnych omówią wszystkie Towarzystwa i Kółka Łowieckie w Polsce i niechaj nam nadeślą odpowiedzi.

Niech każdy myśliwy odpowie po głębokim namyśle.

Z odpowiedzi powyższych zobaczymy, jakie są wytyczne myśli łowieckiej w nowoczesnej Polsce.

Julian Ejsmond.

Rok św. Huberta.

Dla Polski rok bieżący jest niejako rokiem św. Huberta. Dzięki bowiem ofiarności myśliwych, przeważnie z Małopolski i troskliwym zabiegom władz Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z prezesem Juljuszem hr. Bielskim na czele, w czerwcu r. b. poświęcono we Lwowie pierwszą w Polsce odrodzonej kaplicę św. Huberta.

O kaplicy tej i jej obrazie świętym uważamy za właściwe podać trochę szczegółów w numerze „Łowca Polskiego", poświęconym św. Hubertowi.

Kaplicę ufundowano w kościele św. Elżbiety dla uczczenia złotych godów wspomnianego M.T.Ł.

Poświęcenia dokonał dostojny ks. arcybiskup Bolesław Twardowski, odprawiając też pierwszą Mszę św. przed ołtarzem św. Patrona łowiectwa. Arcypasterz w przemówieniu swem zaznaczył, że imię św. Huberta jest dla myśliwych szczególnie drogie. Od najdawniejszych czasów we wszystkich krajach chrześcijańskich łączą się myśliwi w hołdzie dla swojego Patrona, który w młodych swoich latach namiętnie się oddawał łowom. W św. Hubercie myśliwi szukają opieki i pomocy w trudach, a nierzadko i w niebezpieczeństwach myśliwskiego życia.

Fundacja ołtarza św. Huberta pięknie zaświadczy przed przyszłemi pokoleniami o wierze i przekonaniach religijnych obecnych myśliwych.

Kaplica św. Huberta jest dziełem artysty malarza Kazimierza Sichulskiego, profesora Szkoły Przemysłowej we Lwowie. On też jest twórcą obrazu św. Huberta w ołtarzu kaplicy.

Pod kierownictwem prof. Sichulskiego wykonali: polichromję ścian p. Wójcik, absolwent tejże uczelni; ramę obrazu firma H. Koterba we Lwowie, mensę zaś, kutą w tarnopolskim kamieniu — firma H. Perrier we Lwowie. Wszystkie te prace złożyły się na artystyczną całość, tworząc pomnik sztuki nowoczesnej.

Prezes Juljusz hr. Bielski w przemówieniu swem zaznaczył też: Nową kartę dziejów M. T. Ł. zaczynamy w myśl naszych zwyczajów staropolskich z Bogiem, bo z Bogiem nową tę kartę w kościele św. Elżbiety rozpoczęliśmy. Tak zaczynało dawniej i rycerstwo polskie każdą nową sprawę, tak samo my, odłam tego rycerstwa, z Bogiem na ustach i w sercu okres nowy rozpoczynamy.

Dalej dziękował artyście Sichulskiemu. który legendę o naszym Patronie tak po mistrzowsku ujął i na płótno tę wizję przelał.

Prezesem komitetu Ołtarza był redaktor A. hr. Mniszek.

Profesor historji sztuki, Władysław Podlacha, wyraził w specjalnem piśmie wdzięczność za to, że mimo rozbieżnych opinij w sprawie polichromji i ołtarza kaplicy łowieckiej, uwzględniono projekt, którego wykonanie będzie zawsze świadectwo o poważnem zrozumieniu walorów sztuki nowoczesnej.

Dzieje budowy kaplicy opowiedział prezes komitetu, A. hr. Mniszek, przypominając, że na długo przed wojną dr. Józef Ekielski postawił wniosek, żeby społeczeństwo myśliwskie ku czci św. Huberta ufundowało ołtarz. Ofiarność była wielka. Składki wpłynęły odrazu obficie, tak, że w przededniu wojny był już znaczny kapitał, a Tow. mogło już przystąpić do dzieła. Wybuchła jednak wojna i kapitał zmalał do zera. Po wojnie rozpoczęto na nowo akcję i doprowadzono ją skutecznie do celu. Wydatki uczyniły 13,112 zł., z czego zdołano zebrać do dnia poświęcenia jedynie 12,335 zł. Ale ofiary napływają w dalszym ciągu.

Pieniądze zaś są tembardziej potrzebne, że dzieło nie jest jeszcze w zupełności skończone. W kaplicy brak witraży, gdyż jest w niej jedno okno białe, które zasłoniono prowizorycznie zieloną firanką, żeby blask nie psuł harmonji barw. Dalej potrzeba stylowych świeczników, kielicha i t. d., żeby to dzieło było zakończone w tym stylu i duchu, w jakim zostało zaczęte. Na to wszystko wystarczy najwyżej 4.000 zł. W tym celu postanowiono utrzymać na rok dodatkową składkę 50-groszową do składki członkowskiej M. T. Ł.

Złożono specjalne słowa uznania i podzieki prezesowi komitetu budowy ołtarza św. Huberta.

Kaplica będzie na wieki widomym znakiem wysokiego kultu, jakim polskie łowiectwo czci św. Huberta.

J. O.

Jak w bajce.

Opisy pierwszych podróży afrykańskich świat czytał ze zdumieniem i nie wierzył. Opowiadania brzmiały nazbyt bajecznie, Afryka zaś, tajemniczy Czarny Ląd, leżała zadaleko, żeby dochodzić prawdy. Zresztą, według pojęć ówczesnych, niezbyt dawnych nawet, był to inny, straszny świat, niby piekło na ziemi. Dobrowolnie szli tam tacy jedynie, którzy nic już w domu nie mieli do stracenia. Opowiadaniom powracających z podobnych wypraw nie dawano wiary, bo najbujniejsza wyobraźnia nie stwarza większych dziwów, niż to wszystko, co widzieli w Afryce pierwsi podróżnicy.

nie znały, na Czarnym Lądzie mieszkały plemiona spokojnych, łagodnych rolników i pasterzy. Opowiadano nawet o ludziach prawdziwych mieszkających na drzewach, na wodzie, w jaskiniach albo w norach ziemnych i wreszcie, lecz baśniom takim nie wierzył nikt, o ludziach z dziobami zamiast ust i z rogami na głowach.

A jednak baśnie te powtarzali uporczywie najwiarogodniejsi podróżnicy...

W pochodach swych przez gorącą, słoneczną Afrykę wędrowcy spotykali pokryte piaskiem i głazami wielkie, martwe pustynie bez granic, na któ-



„Kłusownik" — I nagroda — fot. p. Adam Starzeński

Jak u wróżki, jak w krainie czarów, na Czarnym Lądzie sprawdzać się miały bajki, opowiadane dzieciom. Wracając, podróżni zapewniali, że widzieli tam złoto leżące, jak piasek, na powierzchni ziemi, a w głębi odwiecznych, śpiących lasów, w których nigdy przedtem nie postała noga białego, wsie całe grodzone płotami z kości słoniowej.

W niedostępnych, tajemniczych krainach wnętrza Afryki mieszkały, jakoby, plemiona łagodnych, dobrotliwych wielkoludów i tuż obok plemiona wszędy obecnych, wszystko widzących, a niewidzialnych, jak duchy, złośliwych, czarnych karłów leśnych. Obok ludożerców i szczepów całych, które prócz mleka, mięsa i krwi, innego pożywienia

rych od braku wody i od upału ostać się nie mógł nawet owad, nawet roślina, i tuż obok niebotyczne góry, na których, pod równikiem, leżał u szczytów wieczny śnieg. Z gór tych, szumiąc kaskadami po zboczach, spływały zimne, kryształowe potoki i strumienie. Słońce jednak i piasek wypijały wodę, bo powietrze tam było, jak w rozpalonym piecu, a słońce nad pustynią stało na niebie wprost nad głowami i zamieniało w popiół wszystko co żywe.

Gdzieindziej, wśród skał ze szczerej soli drzemały w słońcu złowrogie jeziora, które nie gasiły pragnienia. Od jezior tych wiało śmiercią i nie mieszkała w nich ani ryba, ani gad.

Tam za to, gdzie była słodka woda, gdzie promienie słońca nie wypiły resztek wilgoci i gdzie dosięgał jej zbawczy, życiodajny wpływ, nad brzegami rzek i jezior, które jak morza, zalały środek Afryki, na podróżnika czekał raj ziemski.

Nieznane białemu krzewy i drzewa rosły tam, okryte kwiatem i owocami o przedziwnym smaku. Z plam, co śmigłymi wierzchołkami sięgały chmur na niebie, czarni krajowcy, wspinając się po pniach jak małpy, zrywali kapustę, słodkie daktyle i wielkie orzechy, które zawierały mleko. Inne drzewa, bez trudu, dawały chleb, ser, oliwę, a nawet wino; nawet świeżej, chłodnej wody dostarczała ljana, zwieszająca się z drzewa, jak wąż.

Jak w bajce!

Lasy, haszcze i niezmierzone równiny stepów tętniały wrącem, bujnem życiem. W kolczastych gąszczach cienistych, wonnych, leśne pszczoły, brzęcząc, zbierały miód, a wyżej, w koronach drzew, migały barwne ptaki nie większe od muchy i, podobne do żywych klejnotów, olbrzymie motyle.

W głuchych niedostępnych tajniach dziewiczych lasów, w mrocznych ostępach puszcz afrykańskich, do których słońce nie zaglądało nigdy, krył się tajemniczy „człowiek leśny", straszny goryl, na widok którego w najodważniejszych zamierały serca. Czarni zapewniali, że samo spotkanie z nim oznaczało śmierć.

W zaroślach i na zalanych słońcem, rozległych stepach, jak daleko sięgało oko, tysiącami, dziesiątkami tysięcy, żerował zwierz: stada pręgowanych barwnie dzikich koni, przeróżne odmiany antylop, gazele, strusie; do przedpotopowych bestji podobne nosorożce i, nieznane dawniej białemu człowiekowi, wysokie jak wieże, czujne żyrafy.

Już za dnia, zanim zaszło słońce, do wodopojów, setkami ciągnęły słonie, a na łęgach nad rzekami niezliczonemi, czarnemi stadami pasły się po nadbrzeżnych szuwarach groźne bawoły afrykańskie, zwane przez krajowców „bożem bydłem". Nocami, kiedy nastała ciemność, do podziemnego grzmotu podobny, krew ścinał w żyłach i straszył podróżników ryk lwa, powracającego z łowów...

Stanisław Zaborowski.

Jesienią.

W drugiej połowie września 1902 roku wyjątkowo dużo łosi przebywało w łowieckich rewirach moich i mego młodszego brata. Zarzadziliśmy na współkę polowanie, zapraszając naszych znajomych myśliwych.

Uroczysko, w którem stały łosie, stanowił stary liściasty las, rosnący na kilku dużych wyspach, przedzielonych gęstą łozą, zalana woda, przetkniętą sitowiem i tatarakiem. Stanowisko moje i pana W. wypadły na wyspie.

Zaledwie ucichł dźwięk myśliwskiego rogu i doleciał daleki, przytłumiony krzyk huczków, gdy usłyszałem głośne chlupanie wody i trzask gałęzi pod nogami zbliżającego się łosia. Z głębi ostępu zwierz wyraźnie szedł w moją stronę. Coraz bliżej, coraz dokładniej rozróżniałem każdy jego krok i z przygotowaną bronią wyczekiwałem rogala. Już widziałem poruszającą się łozę, uginające się wysokie sitowia, ciemne cielsko zwierza i naraz wychylił się goły łeb klempy. Odleciało naprężenie nerwów i z rozkoszą przyglądałem się jej pierwotnym kształtom, gdy o trzydzieści kroków przechodziła koło mnie, prowadząc za sobą dwoje łoszaków. Nie umilkły jeszcze jej kroki poza mną, gdy znów usłyszałem podążającego tą samą drogą czwartego łosia. Nie wątpiłem, że tym razem to będzie rogal. Znów ogarnęło rozkoszne uczucie, które przenika do szpiku kości i zamienia nas w słuch i wzrok. Niebawem poruszyła się łoza i odnogi rosochów, poprzedzając potężny łeb, wynurzyły się z gąszczu. Chwila jeszcze i zwierz równym kłusem przebiegł obok przez wyspę. Zagrzmiał strzał, a łoś upadł głucho, uderzając o ziemię. W chwili, gdy usiłował powstać, druga kula, skierowana w szyję, przytrzymała go w miejscu.

Nie zdążyłem ochłonąć z odniesionego wrażenia, gdy znów tą samą drogą zbliżała się nowa sztuka. Ale już byłem syt łowieckiego zapędu i na widok martwego ciała okazałego zwierza, przemówiło we mnie uczucie hodowcy. To też napewno przeszedłby koło mnie ten piąty z rzędu łoś w najlepszem zdrowiu, gdyby nie obowiązki gospodarza, które uprzytomniłem sobie, spojrzawszy na mego sąsiada. Skinąłem więc ręką w stronę p. W.

Pan W., stojąc o półtorasta kroków odemnie, słyszał i widział wszystko, co się odbywało na mojem stanowisku. Pośpieszył on w jednej chwili. Jednocześnie z dwóch stron z jednakową szybkością zbliżali się do mnie myśliwy i rogal. I gdy ujrzałem ozdobioną rosochami głowę zwierza, z drugiej strony były już podniesione połyskujące lufy sztucera. W prędkim odstępie padły dwa strzały, a łoś się zachwiał, zatoczył, ale znów schwycił równowagę i powoli odchodził. Widząc, że śmiertelnie trafiony, a wiedząc z doświadczenia jak daleko łoś, nawet najmocniej raniony, ujść potrafi, posłałem i ja swoją kulę, zatrzymując rogala u brzegów szczęśliwej wyspy.

Bolesław Świętorzecki.

Na rykowisku jeleni w Karpatach.

„Rykowisko w toku — głosiła depesza — prosimy przyjechać. Dyrekcja lasów baronów Groedlów Skole".

W radosnem olśnieniu oznaczyłem dzień mego przyjazdu. Lasy skolskie, tworzące najpiękniejsze łowieckie rewiry Karpat, znane mi dotąd były jedynie ze słyszenia i z przepięknych wspomnień myśliwskich Orskiego, poety wysokogórskich łowów.

Dzięki niezwykłej uprzejmości i gościnności baronów zostałem zaproszony do tych czarownych knieci Karpackich na rykowisko jeleni.

Po gorącej modlitwie przed ołtarzem św. Huberta we Lwowie w dniu 21 września przybyłem do Skolego, stamtąd zaś samochodem do Demni Wyżnej.

Nazajutrz w towarzystwie dwóch gajowych wyruszyłem na łowy.

Dokoła góry przemglone, porosłe strzelistymi świerkami dymiły kurzawą skłębionych chmur i pełzających po rostokach mgieł.

Weszliśmy w las. — Niebotyczny bór przesłonił nam niebo. Otoczył nas zielony półmrok. Gdzieś w dole szumi potok. Leśny strumyczek szepce i szemrze po kamieniach, prześlizguje się, jak srebrny wąż pod zmurszałemi kłodami, pod czarnymi korzeniami drzew, ślizga się po kamieniach, nurkuje w zwartą gęstwinę, spada srebrnym deszczem z puszystych mchów...

Dążymy w górę serpentyną, potem osypiskiem.

Miałki gruz lecących w dół kamieni usuwa się z pod nóg.

Mijamy nizki, iglasty las u dołu umarły, wyrudziały, o zielonych, żywych koronach, zbity w nieprzebytą gęstwę świerków, jodeł i limb. Mijamy liściaste, wyzłocone zagaje leszczyny i buków, pełne bujnej roślinności, olbrzymich, pierzastych paproci, granatowych kiści gencjany, ożyny, maliny i jaskrawo-zielonej trawy.

Zstępujemy z nich w mrok jodłowej puszczy. Znowu nam przesłaniają niebo świerki, jodły, buki i olbrzymie jawory. Dokoła piętrzą się malachitowe kolumny powalonych drzew. Wkraczamy w krainę dziką, w groźnie piękny mateczník karpacki.

Pod wyrwanymi z serca ziemi korzeniami leśnego olbrzyma w gliniastym, błotnym dole gajowy wskazuje mi „kąpidło" jelenie. Potworny wykrot zawisł, jakgdyby w powietrzu, nad pełną mroku przepaścią, zda się lada chwila runie w nią po stromym zboczu.

O przedwieczornej chwili w dzikim borze jodłowym, nad spadającym w otchłań strumieniem słyszę poraz pierwszy, jak daleki grzmot, ryk jelenia gdzieś pod Zełemynem.

A-uuu... a-uuu...

Odpowiada mu wyzwanie innego byka, przeciągłe

ö-yyy... ö-yyy...

I trwa grzmiący dwugłos gór. Przewalają się grzmoty pojęków, gróźb, wyznań miłosnych i wyzwań bojowych...

Ścieżką rozmokłą od deszczów zdążamy w dół ku ryczącym bykom. W nagłych skrętach pełznie ona w przepaść ślizka i ruda, jak rdzawa gadzina. Pokrywa ją liść przegniły, drzewny łom, kamienny żwir, przerzynają jej bieg łożyska spadających w dół potoków...

Złamane, zdruzgotane wiekiem smreki i jawory sterczą w martwym bezruchu w kamiennym grobowcu górskiego potoku... Porasta je mech zielony, siwy porost i paproć pierzasta.

Z pod naszych stóp tryskają z pod omszałych kamieni srebrne źródełka górskie i sączą kryształową wodę ze śpiewnym bulgotem...

Cisza pozatem. Jedynie ryk jeleni i cichy szept źródeł. A w przepaści szumna pieśń potoku...

Nie ujrzałem tego wieczora szlachetnego zwierza. Zerwał się zimny wicher, zahuczał w koronach buków i jodeł. Jelenie umilkły. Gęsta mgła zasnuła wierzchołki gór.

Noc spędziliśmy w schronisku na szczycie Zełemyna (1170 m. n. p. m.). Czekała nas tam ciepła wieczerza i lube gorąco kominka.

O świcie wychodzimy na łowy. Dokoła nas zwarta mgła, z poza której widać jedynie najbliższe sylwety jodeł. Reszta świata zatopiona w chmurach. Gdzieś w dole w przepaści za mgłami ryczą jelenie.

Schodzimy krętą, błotnistą, rozmiękłą po całonocnej ulewie serpentyną. Przy najlżejszym powiewie wiatru z drzewnej gęstwiny sypią się kaskady deszczu. Zbliżamy się powoli do potoku, spadającego w kamienną przepaść. Zdaleka już słychać jego szumny bieg. Za nim ryczy jeleń.

Górski potok pieni się i roztrzaskany, zdruzgotany o głazy leci w dół. Nad nim kłody-olbrzymy krzyżują się w śmiertelnym upadku, jak zielone mosty. Pogruchotane drzewa przypominają piszczele potwornych kości. Śliskim gzymsem skalnym przechodzimy przez łożysko potoku. Jesteśmy po jego drugiej stronie. Ryk byka brzmi już niedaleko.

Z bukowej gęstwy z hałasem wybiega płowy szpiczak. — Zatrzymuje się wśród paproci, na stoku góry. Gniewnie szczeka.

Idziemy dalej. Nie on nas tu zwabił. Nie jego głos rozbrzmiewał stąd we mgłach.

Ryk jelenia wstrząsa puszczą, jak grom. Jest przed nami w gąszczu. Za chwilę wyjdzie na ścieżkę, po której posuwamy się w milczeniu. Słychać, jak się zbliża.

Serce zamiera w piersi. Gotuję się do strzału. Gajowy pochyla się ku ziemi i bacznie śledzi nadchodzącego ku nam zwierza.

Siwo-płowy byk wyłania się z gęstej zieloności.

„Dziesiątak... Nie strzelać..." szepce leśnik. Opuszczam sztucer. W tej chwili kręcący się wiatr powiał od nas w stronę jelenia. Jednym potężnym susem wspaniały zwierz zniknął nam z oczu w mroku puszczy.

Wracamy ku schronisku. Poczyna padać deszcz. Siecze nas zimnymi biczami ulewa. Po lgnącym, iglastym stoku na przełaj pniemy się ku Naryczynej rostoce. Przełazimy przez pnie szerokie,



„Puhacz" — II nagroda — fot. p. St. Leo.

zbutwiałe, rozmiękłe od wilgoci, wrośnięte w ziemię, pokryte mchem, bujną paprocią i ożyną, przez rozrosłe wykroty, wyszarpnięte z jelit ziemi, przez łom zdruzgotanych, drzewnych kolumn i przez kamienny gruz osypisk.

Poczyna padać śnieg zmieszany z deszczem. Dokoła pełno jelenich śladów. Czuć swąd zwierza w powietrzu. Mijamy glinianki, doły z wodą, służące za „kąpidła" i „tłokowiska" — wyrudziałe, stratowane miejsca jelenich zalotów.

Lecz ryku nigdzie nie słychać.

Na wieczornych podsłuchach pod Zełemynem zasiedliśmy nad potokiem na obalonym pniu, podobnym do czarnego smoka.

Mruczeniem poczęty ryk jeleni, dmący, trąbiący, głosił nam o żerowisku porannej „dziesiątki" za strumieniem. Byk rzucał krótkie wyzwania, to znów ryczał przeciągle. Lecz żaden rywal nie odpowiadał. Jedynym odzewem był szum strumienia, i wycie wiatru w czubach mrocznych jodeł.

Nazajutrz o pierwszym brzasku byliśmy już w górach. Tym razem prowadził gajowy Rudnicki na Hrebenowiec. Gęsta mgła otaczała nas dokoła. Zimny deszcz padał beznadziejnie. A zza mgły — jak minionego poranku — ryczały jelenie.

Gajowy opowiadał mi szeptem o górskich ostojach, które miały być terenem naszych łowów. Hrebenowiec jest najdzikszym matecznikiem Skolszczyzny. Przebywają w jego niedostępnych kniejach niedźwiedzie, jelenie, rysie, wilki i żbiki.

Niedawno na wilczym przesmyku złapał się w zastawione przy ścierwie żelaza potężny niedźwiedź. Jedno z nich chwyciło go za przednią łapę, drugie za tylną... Zwierz strzaskał o drzewo żelazo z przedniej łapy i uszedł w gąszcze z tylną łapą w potrzasku. Gajowy Kreitzer puścił za nim psy, które niebawem poczęły zażarcie ujadać. Gajowy, dążąc na ich głos i sądząc, że zwierz jest z drugiej strony napastujących go psów, natknął się niespodziewanie na rozwścieczone zwierzę, które mu rozszarpało twarz. Tylko dzięki pomocy psów uratował życie. Nadbiegł na jego rozpaczliwy krzyk drugi gajowy i zabił niedźwiedzia, druzgocąc jednocześnie kulą rękę nieszczęśliwego Kreitzera, usiłującego zadać niedźwiedziowi cios nożem myśliwskim.

Przed paru dniami rozegrał się tu inny krwawy dramat. Chłop strzegł owsa przed dzikami. Do owsa przyszedł niedźwiedź. Chłop chwycił płonące polano i rzucił niem w zwierza, chcąc go spłoszyć. Niedźwiedź porwał nieszczęśliwego w swoje straszliwe objęcia, zaciągnął w gęstwinę i rozszarpał.

Hrebenowiec porastają młodniaki, splątana dzicz drzew, krzewów, zarośla nieprzebyte, maliny i ożyny.

Pod nami w zbałwanionem morzu zieloności ryczy gdzieś jeleń. Na Litowiskach odzywa się jękliwie drugi, zza mgły.

Lecz deszcz poczyna padać coraz większy, wicher się zrywa, śnieg sypie — jelenie milkną, jak zaczarowane.

Docieramy do wirchu Zelemyna, skąd roztacza się widok na całą Skolszczyznę. Na chwilę wyjaśnia się. Przez chmurne zwały przedziera się, jak złota strzała, promień słoneczny. Pada na daleki, górski stok, wyzłaca bukowy las.

Po górach pełzają mgły. Chmury ciężarne ulewą słaniają się w dole po połoninach. Szare mgławice czepiają się stromych stoków. Lekkie obłoki ulatują ku wirchom, które dymią kłębami białej pary, jak szczyty wulkanów. Przez opary zaś przeświecają zamglone leśne grzbiety Szumiaku, Korczanki, Magóry.

Na Litowiskach, na górskiej polanie spostrzegam przez lornetkę żerującego jelenia. Głowę ma ukrytą za drzewem, wieńców nie widzę.

Jak huragan pędzimy w dół. Naprzełaj. Zjeżdżamy po trawie, nurkujemy w zbitej gęstwie zlanych wodą krzaków, przeskakujemy spiętrzone na naszej drodze zapory. Docieramy wreszcie do polany, na której widziałem byka. Ze sztucerem gotowym do strzału, z bijącem ze wzruszenia i pędu sercem, przechodzę ją cicho i ostrożnie. Jelenia niema! Zniknął, jak duch!

Górską polanę porastają złote „mleczaki", podobne do olbrzymich, żółtych rumianków, bujne krzaki pachnącej mięty i kiście granatowych „dzbanuszków".

Przy lizawce u skraju polany żerue sarna. Zwraca ku nam swoje słodkie, czarne oczy, węszy wilgotnemi chrapkami — wreszcie szybkim susem ginie w gąszczu splątanych krzaków.

Wracamy do schroniska drogą poranną. Pod nami w dole brzmi dwugłos miłosny, namiętna rozmowa gór. Stęka gruby jeleń. Odpowiada mu łania. Głos jelenia zza mgły jest jękliwy, do skargi podobny, niemal żałosny. Łania zaś chrząka chrapliwie, przyzywając ku sobie kochanka. Dziki urok tych głosów potężnych, groźnie pięknych w swojej pierwotności ogarnia duszę... Niebawem cichną i rozpływają się we mgle, która otula cały świat-góry i doliny, zwierza i łowcę, niebo i ziemię, miłość i namiętność myśliwską.

Po południu na Hrebenowcu rycza dwa jelenie, oba gdzieś w dole śród przesyconych ulewą gąszczy. Deszcz nie ustaje ani na chwilę.

Tym razem jest to dwugłos wojenny, rozmowa rywali. Schodzimy, a raczej spadamy na dół. Przelatujemy nad oślizgłemi przepaściami. Zbiegamy po osypisku korytem strumienia, po usuwających się z pod nóg kamieniach. Pogrążamy się w nasiąkłą wilgocią, przesyconą deszczem gęstwinę. Docieramy do jakiejś wąskiej ścieżki, przesłoniętej bujną roślinnością, biorącą ją ze wszystkich stron w posiadanie.

I spostrzegamy nad nami na połoninie jelenia. Mgła i odległość uniemożliwiają strzał. Piękny byk powoli, rycząc, ciągnie w gąszcze. Raduję wzrok jego widokiem. Wreszcie ginie nam z oczu. Milknie. Czekamy, czy nie ukaże się bliżej. Niema go. A deszcz leje bezustanku.

Nagle słyszymy pod nami odzew drugiego byka, odzew rywala. Toczy się po górach, jak grom. Poczynamy biec co sił z trwogą, by nam nie umilkł przedwcześnie. Byleby zdążyć. Byleby podejść zwierza na strzał!

Staram się nadążyć za gajowym, nie stracić go z oczu. Czasem ginie mi w przepastnych odmętach zieloności. Wówczas przyśpieszam biegu, chroniąc jedynie lufę sztucera przed deszczem wody, osypującej się z każdej gałęzi.

Szum ulewy głuszy nasze kroki. Skradamy się niepostrzeżenie. Zwierz jest tuż, tuż... Gajowy staje i pokazuje mi ręką jakiś ciemny kształt w gęstwinie.

Spostrzegam go. Jeleń! Przedemną!!

Szybko składam się. Lecz gajowy daje znak: nie widział jeszcze wieńców. Ze strzałem trzeba poczekać.

Opuszczam sztucer. Miałem już muszkę na komorze. Wieńce przesłaniały mi jednak gąszcze. Gajowy liczy.

„Strzelać?" szepczę.

„Zaraz..." I ciągle liczy. Wydaje mi się, że to trwa wieki.

„Strzelać?" powtarzam mdlejącym ze wzruszenia głosem.

„Zaraz... Zaraz..."

Wpijam się w ramię gajowego bezlitośnie, boleśnie, byle przyśpieszyć odpowiedź na to najważniejsze, dręczące mię, pytanie, od którego los łowów i moje szczęście zależy.

„Strzelać?..." pytam po raz ostatni.

„Liczę..." odpowiada mi — i liczy...

Ogarnia mię wściekłość. Czuję, że strzał mam pewny i wiem, że sposobność taka nie zdarzy mi się może nigdy.

A wtem jeleń niknie mi z oczu.

„Strzelać!!. Czternastka!!!", decyduje gajowy.

Ale „czternastki" już niema...

Ogarnia mię beznadziejna rozpacz. Gajowy Rudnicki powtarza złamanym głosem: „Żeby tą jedną chwilę wcześniej — tą jedną chwilę... Ale nie widziałem wieńców... Nie mogłem widzieć... Psia krew! tą jedną chwilę..."

W ponurym nastroju kładę się spać. Daremnie staram się usnąć. Piecyk, stojący przed łóżkiem, przybiera fantastyczne kształty. Z rury wyrastają wieńce...

„Strzelać?“ „Zaraz...“ szepcze jakiś głos...
Piecyk-jeleń, jeleń-piecyk — wszystko wirować poczyna mi przed oczami...

Dnia następnego o świcie wyruszamy ze schroniska poraz ostatni na łowy. Śnieg padał całą noc i wybielił wszystko dokoła. Cały świat stał się jakąś fantastyczną bajką zimową, jakimś snem, jakiemś śnieżnem złudzeniem...

Świerki i jodły przygiął biały całun... Połoniny okryła dziewicza biel. Białe mgły rozsnuły się dokoła... A zza tych mgieł dolata ryk jeleni.

Idziemy na Hrebenowiec. Gęstwa drzew i splątanych krzewów pod śnieżnym kobiercem czyni matecznik jeszcze niedostępniejszy. Zdradliwe przepaście tajemne, przesłonięte śniegiem czyhają, jak zasadzki. Białe kłody, białe pniaki piętrzą się jak wzgórza śniegowe...

Posiwiał szumny bór jodłowy, posiwiały buki i strzeliste jawory. Pod nami ryczą jelenie. Naradzamy się którego podchodzić.

pamiętam, jak się zmierzyłem, nie wiem, kiedy padł strzał. Strzeliłem z przyrzutu *). Jeleń runął, jak piorunem rażony. Ani nie drgnął. Strzał był komorowy...

Gajowi ściągają skórę, ćwiartują mięso i wieszają je na grubych konarach olbrzymiego buka, by je ochronić przed niedźwiedziami i wilkami.

Biały śnieg plami purpurowa krew...

Jeden z gajowych podaje mi złomek jedliny, umaczany w posoce królewskiego zwierza.

Z białej otchłani rozbrzmiewa nowy ryk, dumny i wyzywający. To wczorajsza „czternastka“ ciągnie ku Pliszce w otoczeniu łań... Idzie byk silny o rozłożystych wieńcach śród swego płowego haremu...

Nagle łanie coś zwęszyły. Strzygą uszami. Zwracają ku nam swoje słodkie oczy. Poczuły krew...



„Młode pokolenie“ — III nagroda — fot. p. M. Opielińska.

W wtem z pod wirchu Zełemyna, gdzieś nad nami w perłowej mgle rozbrzmiewa, jak odzew wojenny, stęknięcie grubego byka... Jego postanawiamy podejść.

Ruszamy naprzełaj w górę. Zawaloną śniegiem drożyną, a potem białem bezdrożem zdążamy ku śnieżnej polanie, ku jaskrawo białej połoninie prześwitującej zdala skroś czarną zaporę jodeł i świerczyny.

A gdy dochodzimy do tych jodeł na szczycie śnieżnego wzgórza Pliszka w perłowej mgle, ukazuje się zachwyconym naszym oczom wspaniały jeleń o potężnych wieńcach, rzucający dumne wyzwanie w białą przepaść górską... Ryczy, a grom jego ryku echo powtarza.. W dole odpowiada mu lękliwy odzew rywali...

Ciągnie ku nim leśną polaną. Mgła czyni go fantastycznie wielkim. Kiedy stał na białem wzgórzu poeta zwyciężył we mnie myśliwego... Teraz, gdy lada chwila ukryć się może i przepaść w gęstwinie mateczníka, wczorajsze bolesne wspomnienie budzi we mnie spragnionego trofeum myśliwca. Nie

Jak lawina rwie spłoszona „chmara“ w przepaść!... Lecą w dół strącone kamienie!! Niknie płowy zwierz w białej gęstwinie drzew, w Karpackiej puszczy...

Wracamy do domu, niosąc „łupy bogate“, wspaniałe wieńce grubego byka... Gęsta mgła pierzcha z gór... Rozbłyska słońce poraz pierwszy od czasu naszego pobytu w skolskiej knici... Pieści biały śnieg, z którego wychylają się jaskrawo błękitne pęki gencjany i zielone kiście połonińskiej trawy „kostreti“.

A jak to złote słońce zalewa całą górską krainę, tak duszę myśliwego przepełnia bezmierna wdzięczność dla gościnnych gospodarzy, którzy dają czerpać szczęśliwemu łowcy z niewyczerpanej skarbnicy najczystszych wzruszeń myśliwskich...

Wspomnienia górskich łowów są bowiem jak góry podniosłe, jak góry niepożyte, i jak góry nieba sięgające.

Juljan Ejsmond.

---

*) Strzelałem z debeltowego sztucera Rempta (Suhl).

Mieszańce dzików z trzodą chlewną.

O krzyżowaniu się dzików z trzoda chlewną wiedziano z dawien dawna; a zresztą niema w tem nic dziwnego, gdyż niewątpliwie dzik oraz świnia domowa stanowią jeden gatunek (s p e c i e s) zoologiczny, czyli, wyrażając tę myśl inaczej — dzik jest protoplastą naszych świń domowych. I rzeczywiście, studja osteologiczne potwierdzają w zupełności to mniemanie, w budowie bowiem szkieletu nie znajdujemy żadnych różnic: dzik posiada tę samą ilość kręgów, ten sam ustrój nóg czteropalcowych i to samo uzębienie, co i świnia domowa, a jeżeli znajdziemy u tej ostatniej różnice w stosunkowej długości czaszki, lub nóg względnie do długości zwierza, to różnice te powstały pod wpływem doboru sztucznego, dzięki któremu widzimy u niektórych ras świń domowych ryje oraz nogi względnie bardzo krótkie. Z innych cech, różniących dzika od świni domowej, wymienić należy uszy węższe i przytulone, nigdy nie oklapnięte, przód ciała silniej rozwinięty, a natomiast zad słabszy, co nadaje dzikowi pozór bardziej karaskowaty. Zresztą ordynaryjne świnie na kresach wschodnich, gdzie krzyżówki z dzikami trafiają się stokroć częściej, aniżeli na zachodzie, są nieraz tak podobne do swych dzikich pobratymców, że je nieraz trudno na pierwszy rzut oka odróżnić, wskutek czego nierzadkie tam bywały wypadki zabicia przez myśliwych zwykłych świń domowych, które brano za dziki.

W jaki sposób odbywa się to krzyżowanie, mamy dzisiaj co do tego pozytywne dane. Rozróżnić zaś należy dwa wypadki, a mianowicie — w pierwszym z nich dzik-odyniec pokrywa maciorę domową, gdy w drugim — stokroć rzadszym — knur domowy pokrywa maciorę dzika.

Co do pierwszego wypadku, mamy na to liczne świadectwa zarówno krajowych obserwatorów, jak i zagranicznych. Pamiętam, przed laty czterdziestu opowiadano nam w Oborach, które podówczas należały do ś. p. Włodzimierza hr. Potulickiego, że do miejscowej cegielni, która znajdowała się bodaj na terytorjum dzisiejszego wielkiego letniska Konstancina, podchodził nocami duży odyniec i pokrywał miejscowe maciory domowe, którym brakowało knura. Robiono nawet wielokrotnie zasadzkę na tego Don Juan'a dziczego rodu, lecz z powodu ciemności nic mu nie zrobiono, a w jaśniejsze noce odyniec był o tyle przezorny, że opanowywał swą krew gorącą i wstrzymywał się od miłosnych wycieczek.

Do tej kategorji należą też wypadki, w których maciory, pozbawione knurów, zapuszczają się do lasu, gdzie znaleźć mogą nietrudno amanta z dzikiej hodowli, o ile w sąsiednich lasach trzymają się dziki, co zwłaszcza na Kresach wschodnich zdarza się nierzadko. Kilka podobnych wypadków cytuje w swej interesującej pracy p. Rollinat [1]), którego miałem sposobność odwiedzić wiosną r. b. w jego siedzibie w Argenton (dep. Creuse). Między innemi p. Rollinat stwierdził na miejscu, że w fermie l'Etang Marie w gminie Argenton, maciora domowa, która miała już kilka rzutów prosiąt z knurami domowymi, połączyła się w początkach stycznia 1899 r. z pojedynkiem-dzikiem, który się trzymał w sąsiednim lesie; miejscowi ludzie widzieli odyńca, włóczącego się za maciorą. Trzeba dodać, że w tej fermie brak było knura, więc maciora ta nie mogła być pokrytą przez wieprza domowego. W normalnym czasie maciora ta urodziła dziesięcioro mieszańców. P. Rollinat widział je we wrześniu i stwierdził, że sześć z nich były zupełnie podobne do warchlaków w odpowiednim wieku, gdy cztery nie różniły się niczem od zwykłych prosiąt rasy Craonnais z opadłemi uszami, tylko grzbiety ich były nieco łukowate (dos de Mulet), ogon bardzo skręcony, uszy długie, szerokie, oklapnięte — mniej wszelako, aniżeli u rasy czystej. Prosiaki te miały nogi nieco wynioślejsze, racice rozstawione, jak u świń domowych. Przeciwnie, te, które zachowały typ ojca, miały głowę wysmukłą, uszy sterczące, zaledwie nieco szersze, niż u dzika, ryj wydłużony, oczy żywe, uwłosienie gęste koloru brudno białego, przemieszanego z szarym, oraz z plamami czarnemi u niektórych osobników. Jeden z nich miał całkowite ubarwienie ciemne, jak u dzików oraz szczecinę ostrą; tylko na spodzie ciała, na części głowy oraz na końcach nóg i ogona widać było kolor biały. Tropy tych wieprzaków były rażąco podobne do tropów warchlaków; dziki te były znacznie większe od pozostałych czterech.

Pozatem p. Rollinat wspomina, że tego rodzaju mieszańce są niechętnie widziane na rynkach świńskich i osiągają stale cenę znacznie niższą od rasowych prosiąt.

W innym znów wypadku, cytowanym przez p. Rollinata, olbrzymi pojedynek został zabity 4 grudnia 1910 r. w Feilloux niedaleko l'Etang Marie. Dzik kręcił się koło macior domowych na polu w sąsiedztwie lasu, ciężko poranił knura, zabił wieprzka ośmiomiesięcznego, wypuszczając mu wnętrzności uderzeniem szabli, nie mógł jednak pokryć macior domowych, gdyż syn fermera, p. Verryer, dowiedziawszy się o tej niebezpiecznej bestji, nadbiegł z flintą i zabił ją strzałem. Dzik ten ważył 402 kilo. Jest to waga wyjątkowa dla dzika francuskiego [1]).

Dotychczas mówiliśmy o tych wypadkach, w których odyniec dzik pokrywa maciorę domową. Teraz weźmy przykład odwrotny, kiedy knur domowy pokrywa maciorę dzika. Te wypadki są bez porównania rzadsze, gdyż maciory dzikie są pilnie doglądane przez odyńce, które im w czasie lochania towarzyszą, więc knurowi domowemu niełatwo jest wejść z niemi w bliższy kontakt. Niemniej mogę przytoczyć dwa wypadki autentyczne, potwierdzające, że i tego rodzaju związki trafiają się niekiedy. Jeden z nich cytuje p. Rollinat.

Bywały wypadki, że knur zapędzał się do lasu za lochami i nigdy już więcej stamtąd nie wracał, przyłączywszy się do stada dzików, lub pozostawiwszy swe kości w głębi kniei po walce z silniejszym i lepiej uzbrojonym rywalem z dzikiej hodowli.

Zdarzało się jednak, że taki dzik wracał po niejakim czasie do swych domowych pieleszy. Tak np. pewien knur z osady niedaleko lasu Bélâbre, żerując raz w pobliżu kniei, poczuł widocznie ekscytujące emanacje, jakie wydają samury podczas lochania, więc też zapragnął szukać szczęścia u tej kategorji świńskich piękności. Zdobył się na odwagę i puścił się na poszukiwanie stada, które widocznie odnalazł i za niem poszedł. Co się stało dalej—niewiadomo, lecz po miesiącu odnaleziono go

---

[1]) „Note sur la reproduction du sanglier male avec le porc femelle et sur celle du porc male avec le sanglier femelle" — w Nr. 11 z listopada 1925 „Revue d'Histoire naturelle appliquée", str. 1 — 8. P. Rollinat posiada u siebie bardzo ciekawy zbiór kręgowców Francji środkowej oraz prowadzi hodowlę węży, jaszczurek i żółwi w licznych terrarjach, rozrzuconych w jego ogrodzie.

[1]) Największy dzik, zabity przy mnie podczas mych 20-letnich łowów we Francji ważył 150 kilo. Waga 201 kilo = 452 naszym funtom, więc i u nas podobny odyniec należałby dzisiaj do wyjątkowych. Pan Rollinat wspomina o dzikach francuzkich, ważących do 600 funt. = 300 kilo = 750 funtów naszych!

w stanie nader opłakanym, całego okrytego ranami i marzącego prawdopodobnie o powrocie do domu po tej awanturniczej wyprawie, która go tyle zdrowia kosztowała.

Wszelako po roku od jego zniknięcia stwierdzono w lesie Bélâbre oraz w lasach sąsiednich obecność stada dzików, w którem było 7 dużych warchlaków, a raczej przelatków — białych. W ciągu pięciu następnych lat — pięć z tych dzików padło pod kulami lub loftkami myśliwych. Kuzyn p. Rollinat'a, p. Lionel Couppé dostał piątego z nich zabitego 6-go stycznia 1896 r. w lesie Bélâbre; dzik ten ważył 305 funtów (150,5 kilo), był cały koloru białego z lekkim odcieniem żółtawym i w ogólnym swym wyglądzie łączył cechy dzika z cechami świni domowej. Zarówno on, jak i jego towarzysze znani byli miejscowej ludności oraz straży leśnej, która uważała te przelatki za potomków owego zbłąkanego knura. Łeb tego dzika dostał się p. Rollinat'owi, który go posiada w swej kolekcji. Miałem sposobność oglądać go podczas mojej wizyty i stwierdzić, że w samej rzeczy charakteryzują go połowiczne cechy dzika i świni domowej. Fotografja tego dzika znajduje się w cytowanej pracy p. Rollinat'a, a przy sposobności postaram się ją zaprodukować w naszem piśmie.

Dziki białe, a raczej żółtawo białe, spotykane dość często we Francji, niekoniecznie są potomkami w bliższej lub dalszej generacji świń domowych, lecz mogą to być okazy albinistyczne, które trafiają się w każdym gatunku ssaków lub ptaków. Tego samego zdania jest p. Rollinat. Natomiast dziki żółtawo-białe z c z a r n e m i p l a m a m i mają bezwarunkowo w sobie krew świń domowych. Łeb takiego pojedynka, skłutego przed psami, widziałem w Mesnes (Indre a Loire) u p. Charles Barton'a. Pojedynek ten był według wszelkiego prawdopodobieństwa potomkiem knura i lochy. Zdarzyło mi się też widzieć dziki łaciaste w Porycku u Stanisława hr. Czackiego. Spotkano tam stado, w którem trzy warchlaki były łaciaste a cztery ubarwione normalnie. Ze stada tego zabito dwa warchlaki normalne i jednego łaciastego. Ten niewątpliwie miał we krwi swojej domieszkę świni domowej — prawdopodobnie knura.

Jan Sztolcman.



„Śniadanie w lesie" — III nagroda — fot. p. M. Opielińska.

Pierwsza zasadzka.

W drużynie łowców po polowaniu, w czasie poobiedniej siesty toczy się żywa pogawędka na tle wspomnień i przeżyć łowieckich.

W czasie dyskusji powstaje spór, czy zasadzka, lub jak ją inni zwą — zasiadka na zwierzynę łowną z czatownią lub bez czatowni, jest dozwoloną i powinna być tolerowaną, czy też jako nie bardzo „rycerski" sposób polowania, niekiedy nieetyczny, nie wiele się różniący od sideł lub wilczych dołów, powinna być potępiona.

Zdania się ścierają i krzyżują. Jedni utrzymują, że zasadzka a nawet czatownia nie dadzą się pogodzić z łowiectwem, a strzał wieczorem lub przed brzaskiem, gdy zwierzyna wychodzi na żer, sprzeciwia się etyce łowieckiej.

Inni, a tych jest mniejszość, twierdzą, że zasadzka na grubszego zwierza jest na miejscu i ze swej strony przytaczają argumenty na poparcie swego twierdzenia.

W trakcie gorącej dyskusji wmieszał się w nią jeden ze starszych łowców, niebiorący dotąd w niej udziału.

— Spór wasz o zasadzkę, dla mnie już bardzo dawno poniekąd został rozstrzygnięty zdarzeniem, które mnie spotkało jeszcze prawie w latach dziecinnych.

Jeśli pozwolicie, to Wam opowiem:

„Miałem podówczas może 10 albo 11 lat, mieszkaliśmy na Pokuciu, w uroczej okolicy nad Dniestrem, tam, gdzie rzeka zatacza jeden z największych swoich zakrętów, naprzeciw Koropca.

Spędziłem tam pierwsze wakacje po ukończeniu przygotowawczej klasy do gimnazjum.

Za dobre świadectwo otrzymałem od ojca prawdziwą pojedynkę, przodówkę, z którą wolno mi było chodzić tylko w towarzystwie leśniczego, lub osób starszych, pozatem uwijałem się z flobertem śrutowym, strzelając zeń sójki, srokosze, wrony, krasnowronki i inną tzw. studencką zwierzynę.

Ś. p. ojciec mój często wyjeżdżał i pewnego razu pod jego nieobecność namawia mnie brat mojego późniejszego szwagra, około 16-letni wyrostek, ś. p. Adaś, na wycieczkę nocną z przodówką.

Umawiamy się, że gdy w nocy zapuka do okna zlekka, mam przez okno wykraść się i towarzyszyć mu w wyprawie na zasadzkę, której celem ma być borsuk.

Pokusa zbyt wielka, by jej nie ulec.

Borsuk w ówczesnem mojem pojęciu był jakiemś prawie legendarnem stworzeniem, czemś w rodzaju smoka... złośliwem i szkodliwem.

Czy to w kieracie przy młocarni, czy w stodole ustawicznie obijały się o uszy opowiadania chłopców i dziewek o szkodach, zrządzonych przez borsuka w kukurydzy.

Ś. p. Adasiowi bardziej zależało na przodówce, jak na mojem towarzystwie, ale wówczas na takich subtelnościach nie bardzo się znałem.

Dość na tem, że około godz. 11-ej w nocy do pokoju, w którym spałem z rodzeństwem... puk... puk w okno.

Zerwałem się, w mig ubrany, i z przodówką wykradzioną z kancelarji, prochem, śrutem i spłonkami po chwili jestem za oknem.

Z Adasiem oraz dwumetrowym dragalem, ośmnastoletnim służącym, Wincentym, idziemy na wyprawę po runo borsucze.

Pierwsza noc poza domem — jakby dziś — żywo odtwarza się w pamięci.

Przecudna sierpniowa, z lecącemi gwiazdami, nurzająca się w srebrych blaskach pełnego księżyca.

Wszystko dla mnie było nowością, zakazanym owocem. Do 9 wieczorem jeszcze czasem przez okno świat się widziało, a po dziewiątej „capstrzyk" i rozkaz: spać!

Dotąd nie widziałem, jak świat w nocy wygląda.

Nie wiedziałem także, co to jest rosa: nie przewidywałem, że obuwie, z wieczora wyczyszczone, tak haniebnie mnie zdradzi.

Noc owa, na wolności, wśród jarów naddniestrzańskich, wśród zagonów, spadających zboczami do wysoko położonej i zalesionej ścianki nad rzeką była dla mnie jakby z czarownej baśni wyjętym obrazkiem.

Dołem przewijała się wstęga srebrna Dniestru, jak wąż lśniąca o bajecznie świecących łuskach, po drugiej stronie Dniestru kładły się obłoki białej mgły, z których wynurzały się nagie skały brzegu Koropieckiego.

O ucho uderzał szum i szmer toczących się wód i licznych w tej okolicy szypotów.

W ten szum wpadał smutny ton fujarek, na których wygrywali chłopcy, pasący konie na łąkach.

Jak o tem już znacznie później się dowiedziałem, smutny ton tych zawodzeń na fujarkach, wogóle owe smętne melodje mają swoją tradycję w przeżyciach ludności, która, mieszkając na głównym szlaku tatarskim, często padała ofiarą napadów tatarskich i branek w jasyr.

Ludzie kryli się po skałach i grotach, które do dzisiejszego dnia z owych czasów pozostały.

Osady wiejskie w tej okolicy mają znaczną przymieszkę krwi tatarskiej, są nawet całe wsie pochodzenia tatarskiego, o czem świadczą nazwiska i wygląd fizyczny mieszkańców.

Pieśni osad naddniestrzańskich mają charakterystyczny ton smętku i melancholji.

Wchodzimy w las. Szum tajemniczy drzew, księżycowa poświetl, sącząca się tu i ówdzie przez drzewa, kładąca jasne plamy na gałęzie, pnie i ziemię, przejmuje wrażeniem czegoś nieznanego, tajemniczego, kryjącego się w przepastnej głębi lasu.

Jesteśmy już pod lasem, z którego borsuki mają wychodzić na smaczną mamałygę lub polentę.

Pojedynka moja przeniosła się na ramię Adasia.

Oczekiwanie legendarnego smoka pogłębia jeszcze wrażenie nocnej, zakazanej wycieczki.

Wrażliwe ucho chwyta każdy szmer i szelest.

Jeden drugiemu zwierzamy się ze spostrzeżeń, jeden drugiego pyta „co to było?", co to szeleści?", „co przeszło?"

Księżyc wypłynął prawie na środek horyzontu i jak z kopuły sieje swe blaski na drzewa i pola wzdłuż lasu położone.

Wkrótce za Wincentym podsuwamy się lekko brzegiem lasu do zagonów, wrzynających się wąskiem pasmem między dwie ściany lasu.

Nagle Wincenty pokazuje coś Adasiowi, mówiąc:

— Paniczu! Borsuk!

Patrzę i ja i rzeczywiście pod samą kukurydzą, w miedzy zagonu ziemniaczanego, widzę coś białego i czarnego w odległości może 60 kroków.

Adaś ma już broń przy ramieniu, pada strzał, a równocześnie okrzyk... oj!.. oj!.. z miedzy zrywa się chłop z krzykiem: „Kto mene tak udaryw?"

My w nogi! przerażeni wypadkiem... wyrywamy...

Po cichu uchyla się okno, właże do pokoju, po chwili do łóżka.

Ażeby dopełnić miarę nieszczęścia, ziawia się na drugi dzień we wsi „kohut", żandarm, tak przez chłopów zwany z powodu kogucich, czarno-zielonych piór, zdobiących kapelusz.

Od „borsuka" dowiedział się o wypadku, zarządził dochodzenia, a po nitce do kłębka doszedł, że w wyprawie brali udział panicze ze dworu.

Ze względu na obuwie silnie zaroszone wzięto mnie na spytki.

Z wielką skruchą wyznałem prawdę przed matką.

Po konferencji z ojcem Adasia, wobec doniesienia żandarmerji, skończyło się na tem, że za 200 guld. wziął winę na siebie Wincenty i zasądzony został na kilka tygodni aresztu.

Chłop, pilnujący swej kukurydzy przed borsukami, który spał w miedzy, a którego ręka w białej, zgrzebnej koszuli wystawała z kawałkiem czarnego kożucha z miedzy, tworząc złudnie sylwetę borsuka, musiał poddać się operacji, gdyż dostał w ramię kilkanaście śrutów.

Odtąd na całe życie przylgnęła doń nazwa „borsuka".

Dla mnie był to pierwszy i zapewne ostatni borsuk, którego widziałem w życiu.

Odtąd całkiem ta zwierzyna mnie nie nęci, pojedynka za karę poszła pod zamknięcie—do przyszłych wakacyj.

Nauczka co do złudzenia wzrokowego i suggestji tak podziałała na mnie, że nigdy mnie nie ciągnęło i nie ciągnie do żadnej zasadzki.

Odtąd uważam, że dla łowcy jedynie sposobną do strzału chwilą jest światło dzienne, od brzasku dnia począwszy.

Światło dzienne wyklucza omyłkę, — nocne, zwłaszcza księżycowe, powoduje takie złudzenia wzrokowe, że nie dziwią mnie wcale liczne wypadki zastrzelenia krów i koni zamiast dzików.

Zyskałem już za młodu wytyczną na całe życie, że zasiadka nie jest dla łowcy, gdyż pominąwszy względy etyki w tym czasie, w którym wychodzi się na zasadzkę, łowca nie włada w pełni swymi zmysłami, co jest jednym z głównych wymogów łowiectwa.

St. W. Orski.

W niełasce św. Huberta.

Nadszedł koniec września, z powodzi deszczów i mgieł zrodziła się jesień, co knieję ubrała w złotokrwawą szatę liści. Wiatr targał białemi pajęczynami babiego lata, które ranek mroźny stroił w szronu brylanty po to, by słońce topić je mogło w łzy żalu za pierzchającą radością przyrody. Nadszedł czas godów weselnych monarchy leśnych ostępów, rykowisko, które w tym roku poraz pierwszy miałem usłyszeć. Gospodarz łowiska, do którego zostałem zaproszony, pozwolił mi swego czasu strzelić dzika. Dlatego też pragnąłem nietylko słyszeć ryczącego jelenia, lecz kierowała mną również myśl, by ujrzeć na strzał odyńca. W gwieździstą i mroźną noc wjechaliśmy do rewiru, gdzie granie basowe kilku silnych byków dziwne a przejmujące na mnie wywarło wrażenie. Zmienności pogody zawdzięczam, że raz tylko jeszcze usłyszałem dobrze ryczące jelenie, tymczasem minęło szybko dni kilka, które w tej czarownej kniei, spędzić mi było danem, a dzików widziałem tylko tropy.

Nad olbrzymią równiną lasem pokryta królowało pasmo wzgórz dość wysokich, aby pragnącemu dobić do najwyższego ich szczytu przysporzyć silne bicie serca. Ku szczytowi temu, na którym stoi wieża ogniowa, postanowiłem wyruszyć w ostatni ranek, by pożegnać się ze wspaniałym widokiem morza lasu ginącego w sinej dali. W plecaku spoczywał aparat fotograficzny, mający utrwalić ten obraz na kliszy. Było już wpół do ósmej rano, gdym zmęczony stanął u stóp wieży. Na błękitne dotąd niebo napływać poczęły kłęby mgły gęstej, wypełniając każdą nierówność terenu. Spływały one, przewaliwszy się przez ścianę wysokiego lasu, o którą oparta stała wieża, po zboczu góry, nad wierzchołkami kilkoletniego zagajnika. Szybko postanowiłem wdrapać się na najwyższą platformę wieży, że zaś jej wysokość i jakość materjału niezbyt wielkie we mnie wzbudziły zaufanie, zdecydowałem się mój express zostawić na dole. Z jakie pięć minut czasu zajęło mi ustawianie aparatu, mgła nie pozwalała mi dokonać zdjęcia. Nagle usłyszałem lekki trzask łamanych gałęzi. Zdziwiony zwróciłem się w jego kierunku i zdrętwiałem. Z gąszczu omszałego sunął potwór czarny, ogromny odyniec truchcikiem zbliżał się do wieży, o którą oparty stał mój podwójny sztucer. Wbiegłszy na szczyt wzgórza, stanął, podejrzliwie badał ciepły jeszcze ślad mych nóg, małe świece przenikliwie świdrowały okolicę. Miałem wrażenie, że potężne palce chwyciły mnie za gardło, byłem jak sparaliżowany. Nie wiem, jak długo ta scena trwać mogła, dość, że wiele dzikich pomysłów zdążyło mi przez głowę przebiec. Odyniec tymczasem szablami błyszcząc, ruszył z miejsca i wpadł w zagajnik. Widziałem go jeszcze, jak sapiac, pruł mech i drzewa, aż znikł. Przetarłem oczy, jakby ze snu męczącego zbudzony. Niestety, to, com ujrzał, było rzeczywistością. Nie umiałem zajścia tego przemilczeć, to też nietrudno wyobrazić sobie uwagi, jakich słuchać musiała zbolała moja dusza.

Tegoż jeszcze dnia wieczorem wróciłem do domu. Z niedowierzaniem słuchałem opowiadania jednego z leśników, że poprzedniego dnia słyszał ryczącego jelenia u nas, gdzie dotychczas o rykowisku mowy nie było. Cóż z tego, że jeleń ryczał? Po pierwsze, że dla bardzo gęstego podszycia dębowego i zwartych zagajeń, zetknięcie się z silnym rogalem do sporadycznych wypadków tutaj należy, wymagając więcej cierpliwości, aniżeli ja jej posiadam; po drugie zaś trudno było pomyśleć o strzeleniu drugiego jelenia, gdy z pozbyciem się niecałe dwa tygodnie wcześniej ubitego, wiele było kłopotów. Stąd też dnia następnego postanowiłem wybrać się do lasu z flintą, chcąc stanąć przy jamie borsuczej w nadziei, że uda mi się wreszcie strzelić niezanotowanego dotąd w moim dzienniku łowieckim jaźwca. Może godzinę stałem nieruchomo, słońca promienie już spełzły z wierzchołków sosen, gdy nagle do uszu moich doszedł dźwięk dziwny, zdawało mi się, że głos ryczącego jelenia. Upłynęło dziesięć minut, aż usłyszałem go wyraźniej i bliżej. Niedługo byłem już pewien: ryczał silny byk! Za głosem tym idąc, wyszedłem na linję między kilkunastoletnim zagajem sosnowym i dębowym. W przerwach wsłuchany w ryk poruszałem się wolno. Już dobrze szarzeć poczęło, gdy jeleń zaryczał przy samej nieomal drodze. Nagle, nie dalej jak na pięćdziesiąt kroków, wolno ciągnąc do dębowych gąszczy, przeszła łania, za nią przesunęła się druga. Zdążyłem w porę stanąć pod ścianą zagajnika, wiedziałem, że ostatnim w tym weselnym orszaku będzie ów silny jeleń rogaty,



„Apport!" — IV nagroda — fot. p. J. Marchlewski.

cia, kiedy to przed laty 40-tu czy 50-ciu niejaki p. Bartel, czy Bardel, skromny obywatel warszawski, założył w podwórzu jednego z nielicznych podówczas domów — bodaj przy ulicy Hożej, gdzieś którego głos prowadził mnie w to miejsce. Był on trzecią sztuką. Jak duch wyłonił się cicho z szarzejącego coraz silniej tła, żerując, zaświecił na wysokości pasa koroną wieńcy i wolno znikł mi z osłupiałego wzroku. Zwolna podniósłszy na ziemi leżącą flintę, do której nawet gładkiego pocisku Breneckiego nie miałem przy sobie, a kula taka na odległość pięćdziesięciu kroków byłaby przecież piorunująco działała, zawróciłem ku domowi. Dwa bolesne ciosy ugodziły we mnie w krótkim czasie trzech dni, ja tymczasem, choć tak niełaskawym był dla mnie św. Hubert, wiernym jego zostane uczniem.

Zygmunt Metzig.

Cieniom tych co odeszli.

Wielką uroczystością jest święto Umarłych i dzień naszego Patrona Ś-go Huberta.

Ząb czasu rok rocznie czyni wielkie wyłomy w szeregach naszej drogiej Braci w Świętym Hubercie, zespolonej duchowo w jednym wspólnym celu godnego konserwowania przekazanego nam przez rycerskich przodków naszych najszlachetniejszego ze sportów i rozrywek, zaprawiających nas w tężyźnie ciała i ducha do czynów wielkich.

Gdy rzewny, majestatyczny odgłos dzwonów rozebrzmi ponad miastami i siołami, niosac w dal smętne echa, wspomnijmy wówczas Tych wszystkich, co z pośród nas odeszli, lecz Których pamięć pozostanie dla nas tak bardzo droga. Pomódlmy się szczerze za Ich Dusze, ile że zakutych w stal rycerzy, praojców naszych, zawsze wielka religijność cechowała, dzięki której wielkie rzeczy tworzyli. Modlitwą więc w tym wielkim, uroczystym dniu Zmarłych bądźmy Im pomocni i uczcijmy Ich pamięć!

Że wiara nasza, ten granitowy fundament kultury i cywilizacji, silnie tkwi wśród dzielnych spadkobierców wielkich łowców — mocarzy, antenatów naszych wymownym tego dowodem świeżo ku czci Ś-go Huberta wzniesiony ołtarz we Lwowie, skąd każdej chwili nasz święty Patron gorliwym, wiernym wyznawcom swoim, raczy zsyłać zdroje łask, chroniąc ich od nieszczęść wszelakich.

———

Odeszli nas starzy wielcy łowcy, nauczyciele nasi, zostawiając spadkobiercami, jakkolwiek nielicznych lecz tęgich duchem myśliwych — rycerzy, którzy dobrze wywiązują się z przekazanych obowiązków i godnie dzierżą sztandar Ś-go Huberta.

———

Kryniczny ruczaj leśny toczy swe wody, szemrząc, zda się, tajemnicze słowa w niezrozumiałych dla ucha profana dźwiękach; — to przemawiają do nas z za grobu dusze Tych, co odeszli. Opowiadają nam one wielkie misterje, których, niestety, my grzeszni pojąć nie zdolni.

Czy poszum wiatru leśnego, czy przecudne blaski miesiąca, czy powiew fal kołyszących się kłosów, — wogóle cała przyroda przemawia na każdym kroku do duszy naszej; lecz by móc pojąć te niezwykłe misterje natury, by móc odczuć prawdziwe jej piękno, trzeba zrzucić z siebie niska, grzeszną szatę, zbrukaną podłościami życia codziennego, trzeba umieć wznieść się duchem ponad poziomy, poza ten padół łez i bólów, — hen w zaświaty i stamtąd czerpać jeno otuchę, naukę i siły do walk doczesnych.

Tylko dusza prawdziwego myśliwego, myśliwego — poety, obcującego stale z przyrodą pełną cudów, którą tak bardzo kocha, zdolna jest zrozumieć choć w części tajemne rozhowory i symboliczne, nieziemskie dźwięki, nimi się zachwycać, z nich uczyć się życia — prawdziwej miłości.

Stefan Ostrowski.

Zmarli
w roku myśliwskim 1925/26.
Ś. † P.

Aleksander Lenkiewicz.
Władysław Rabski.
Bolesław Domaniewski.
Józef Ostrowski.
Ksawery hr. Branicki.
Ryszard Torchalski.
Paweł Rohland.
Wielisław Lewicki.
gen. Bronisław Grąbczewski.
Stanisław Dołęga-Lasocki.
Tadeusz Starzyński.

Członkowie Małopolskiego Tow. Łowieckiego.

Stanisław Prek.
Edward Staufer.
Karol Starszniewicz.
Tadeusz Cieński.
Michał Jędrzejowski.
Stanisław Bielewski.
Władysław hr. Michałowski.
Jan Poklewski — Koziell.
Celestyn Moraczewski.
Gorzeński — Ostroróg.

Śmierć na polowaniu.

W jeziorze, niedaleko wsi Białej, w gm. Kuchocko-wolskiej, podczas polowania na kaczki, utonęli: leśniczy lasów państwowych, Wacław Wojniłowicz i mieszkaniec wsi Białej, Sergjusz Zdanowicz.

Ogród Polski.

Warszawa jest jedynem miljonowem miastem w Europie, nieposiadającem ogrodu zoologicznego. Ileż to miast znacznie mniejszych od Syreniego Grodu, choćby np. Poznań, szczyci się tego rodzaju instytucjami, zwykle wzorowo prowadzonemi, a my ciągle projektujemy, zakładamy, bankrutujemy lub likwidujemy i ostatecznie z rumieńcem wstydu przyznać się musimy, że albo jesteśmy nieudolni, albo tak mało kulturalni, że nie pojmujemy doniosłości znaczenia, jakie mają ogrody zoologiczne dla kształtowania umysłów dziecięcych w kierunku umiłowania przyrody.

A na licznych próbach nie zbywało. Pierwsza z nich sięga jeszcze drugiej połowy zeszłego stule-

tam za Marszałkowską — „ogród zoologiczny", w którym pomieścił dwuletniego niedźwiadka, lisa, orła i jeszcze może parę innych okazów krajowej fauny. Lecz gdy lokatorowie p. Bartla odznaczali się wilczymi apetytami, a kopiejkowe wpływy kasowe przy skromnych środkach właściciela ogrodu nie wystarczały na zadowolenie tych apetytów, „niedźwiedzie zjadły Bartla", jak się wyrażał jeden z rubasznych preparatorów warszawskich. I tak się skończyła ta pierwsza,niefortunna próba założenia ogrodu zoologicznego.

Upłynęło lat z dziesiątek, kiedy poruszono znów tę tak sympatyczną dla ogółu ideę, lecz tym razem w stokroć korzystniejszych warunkach. Do rzeczy wziął się człowiek nadzwyczaj zdolny, ruchliwy i mający ogromne stosunki i wpływy wśród społeczeństwa warszawskiego. Zainstalowano ogród w Bagateli, która podówczas zajmowała kontroli weterynaryjnej, wskutek czego niesumienny dostawca zdołał ulokować całą partję mięsa z padłego na jakąś chorobę zakaźną bydlęcia, czy konia, a rezultatem była śmierć siedmiorga najcenniejszych zwierząt, jak lwa, tygrysa, czarnej pantery i innych. To było preludjum do likwidacji ogrodu

Po tak smutnej próbie nastąpiła pauza bodaj 30-letnia, przez czas której nikt już nie czynił usiłowań w tym kierunku. Dopiero teraz myśl założenia ogrodu zoologicznego podjęło w naszem mieście aż trzech naraz inicjatorów: p. Pągowski zakłada skromny jak na początek ogródek w jednym z domów przy ulicy Koszykowej, p. Kączkowski popierany przez władze miejskie, funduje ze swej strony niewielki zwierzyniec w parku Rau'a przy rogu Nowego-Światu i Alei 3-go maja; wreszcie p. Burdziński były dyrektor ogrodu zoologicznego

KOMITET STRZELANIA KONKURSOWEGO W POZNANIU 1926 r.



Od strony lewej ku prawej siedzą pp. Włodzimierz Bronikowski, dyr. Alkiewicz, Jan hr. Drohojowski, reprezentant Małop. Tow. Łow. Zygm. hr. Kurnatowski, ppułk. rez. Konstanty Chłapowski, prezes Wielkop. Związku Myśliwych, gen. Antoni Unrug, radca Józef Ziółkowski, nadleśn. Wincenty Zalewski.

przestrzeń dwa razy większą, aniżeli dzisiaj. Zakupiono lwicę kotną, tygrysa, pumę, czarną panterę, wielbłąda, niedźwiedzia syryjskiego, sporo papug i różnych innych ptaków egzotycznych. Punkt był dobry, choć nieco może odległy, gdyż o tramwajach podówczas jeszcze mowy nie było; zdawało się więc, że rozwojowi tej instytucji nic na przeszkodzie nie stanie. I w samej rzeczy w tych pierwszych początkach ogród prosperował i można było mieć nadzieję, że powoli instytucja rozwinie sie i na dobre ustali. Lecz musiał tam być jakiś defekt czy przy samem założeniu, czy następnie wskutek wadliwej administracji, dość że po paru latach zaczęto przebąkiwać, że ogród chyli się ku upadkowi. Ostateczny cios zadało instytucji niecoględne skasowanie w Kijowie zabiega o założenie t. zw. „Ogrodu Polskiego", zakrojonego na bardzo szeroką skalę.

P. Burdziński zaczął budować gmach od samych podstaw. Więc przedewszystkiem uzyskał od władz zatwierdzenie Statutu Towarzystwa „Ogród Polski", który to Statut w § 3 opiewa, że „Ogród Polski" zawiera działy:

a) Dział historyczno-etnograficzny: kościołki modrzewiowe, krzyże przydrożne, zabytki budownictwa, pomniki, zagrody włościańskie z różnych okolic kraju z całem urządzeniem wewnętrznem i zewnętrznem oraz na tle naturalnego środowiska.

b) Botaniczny: grupy florystyczne i ekologiczne w oranżerjach, akwarjach i t. p., zbiorowiska roślinne.

c) Dział roślin pożytecznych: rośliny lekarskie; techniczne; sad; ogród warzywny; walka ze szkodnikami (ochrona ptaków owadożernych) i t. p.

d) Zoologiczny: zwierzęta dzikie (ssaki i ptaki), z uwzględnieniem fauny krajowej; kolekcje ryb krajowych i egzotycznych, płazów i gadów w akwarjach i terrarjach; insektarja.

e) Dział zwierząt pożytecznych: gospodarskich (bydło rogate ras kulturalnych i ras pierwotnych; konie, wielbłądy, kozy i owce ras kulturalnych i pierwotnych; świnie, króliki, psy i t. p., drób, gołębie i inne). Pszczelnictwo. Jedwabnictwo.

f) Świat zwierząt i roślin wymarłych.

g) Aklimatyzacja zwierząt i roślin.

h) Rozrywki i zabawy ludowe. Ogródki i rozrywki dla dzieci.

Mamy więc tu etnografję, zoologję i botanikę, paleontologję, hodowlę roślin lekarskich i jadalnych, aklimatyzację roślin i zwierząt, ochronę przyrody, hodowlę zwierząt domowych, wreszcie zabawy ludowe i dziecinne. Aby to wszystko pomieścić, projektodawca oblicza minimalnie plac o przestrzeni 100 ha.

P. Burdziński zapewnił sobie współudział największych powag naukowych, rządowych i społecznych. I tak: z Wilna 18 profesorów uniwersytetu i działaczy społecznych; z Krakowa 21 profesorów Uniwersytetu, Akademji górniczej i Akademji Sztuk pięknych; ze Lwowa 16 profesorów uniwersytetu, politechniki lwowskiej i działaczy społecznych; z Poznania 30 profesorów Uniwersytetu i działaczy społecznych; z Cieszyna 10 profesorów Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego i wreszcie z Warszawy 182 profesorów Uniwersytetu, Politechniki, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, Szkoły Sztuk pięknych, posłów, senatorów, ministrów, przedstawicieli miasta i działaczy społecznych.

W dn. 19 października r. b. odbyło się zebranie organizacyjne założycieli w sali posiedzeń Senatu Uniwersytetu Warszawskiego.

Z ruchu wydawniczego.

Z dniem dzisiejszym poczyna wychodzić nakładem księgarni Wendego „Biblioteka Przygód Myśliwskich" pod redakcją Juljana Ejsmonda, zawierająca opisy najpiękniejszych przygód łowieckich naszych znakomitych myśliwych. Nowe dzieła ukazywać się będą co miesiąc. Cena tomu 95 groszy. Chodzi o jaknajszerszą popularyzację śród ogółu myśliwskiego dobrej książki łowieckiej.

W wydawnictwie powyższem zapowiedziano książki Wł. Czerniejewskiego, St. Zaborowskiego, St. Orskiego, A. Ossendowskiego, J. Sztolcmana, A. Rzewuskiego, Br. Gordziałkowskiego, B. Świętorzeckiego, St. Krzywoszewskiego, J. Ejsmonda, Wł. J. Połczyńskiego i M. B. Lepeckiego.

Prenumeratorowie „Łowca Polskiego" otrzymywać będą „Bibl. Przygód Myśliwskich" po znacznie zniżonej cenie. (2 zł. kwartalnie). Niechże to będzie jeszcze jedną zachętą — aby być prenumeratorem „Łowca Polskiego".

Kronika myśliwska.

W dniu 19 i 20 b. m. odbyło się polowanie reprezentacyjne w nadl. Gołąbki pod Gnieznem.

Polowanie prowadzone było wzorowo przez znakomitego myśliwego, p. Tadeusza Metziga. Padło ogółem 123 zające, 1 lis, 4 króliki i 6 słonek.

Ponieważ w polowaniu brali udział dostojnicy państwowi, parę brukowych piśmideł rzuciło się z pianą na ustach, piorunując na to. Tępa głupota nie ma granic!

Jeśli ktoś z mężów wybitnych zgrywa się w karty w klubie, gra na wyścigach, lub odwiedza lokale podejrzane — to wszystko w porządku.

Lecz jeśli zapragnie na łonie boskiej przyrody odetchnąć jej czystem, uzdrawiającem powietrzem i nacieszyć wzrok jej nieśmiertelnem pięknem — odrazu podnosi się gwałt. Do omówienia objawu tego jeszcze wrócimy. Jest on zbyt smutny i zbyt kompromitujący, ażeby przejść nad nim do porządku dziennego.

Wskazówki na listopad.

Nawet podczas urządzanego polowania u siebie, ani na chwilę nie powinniśmy zapominać o ochronie. Często bowiem bardzo, zwłaszcza w obszerniejszych rewirach leśnych, zdarza się, że gdy w jednej części odbywa się polowanie z naganką, w innej, więcej oddalonej, kłusownicy polują na własną rękę.

Na pochwałę zasługuje hodowca, który w ciągu roku postarał się dla zwierzyny o pasze zimową. W listopadzie wszakże jeszcze można coś zrobić w przewidywaniu ciężkich czasów. Sarny chętnie jedzą opadłe liście dębowe, bukowe, lipowe, z kasztanów, a nawet brzozowe, co umożebnia przetrzymywanie dni jesiennych, dopóki większe śniegi nie upadną. To też liście opadłe powinno się w tym czasię grabić i gromadzić w udeptane kopki w pobliżu przesmyków, t. j. ścieżek, któremi przechodzi zwierzyna. Kopki zanim się je pokryje słomą, należy przycisnąć kamieniami, mając na uwadze, by zebrane liście były należycie suche, inaczej pleśnieją. Taka pasza przyda się, gdy śniegi pokryją oziminy w polach, a w lasach trawy, wrzosy i powoje.

W listopadzie musimy się już liczyć ze zbliżającą się zimą. Pług do śniegu powinien, zwłaszcza dla sarn, zajęcy i kuropatw utrzymać zasiewy odkrytymi, inaczej w razie utworzenia się skorupy lodowej sarny kaleczą sobie racice, a drobna zwierzyna do oziminy nie ma dostępu. Zdarza się jednak, że ani pługiem, ani specjalnymi klinami, zlodowaciałego śniegu usunąć się nieda, wtedy liście zebrane w kopkach stają się dla sarn pożądaną paszą.

Paśniki na żerowiskach można powoli zaopatrywać w koniczynę i okopowizne.

Przedewszystkiem wszakże należy urządzić budki dla kuropatw i bażantów. Podobne urządzenia drogo nie kosztują, kto zaś ich nie zakłada, ten nie zasługuje na miano hodowcy.

Kuropatwy zawsze będą przebywały w otwartych polach. Dopiero podczas mrozów i zawiei śnieżnych zbliżają się ku ogrodom i zagrodom chłopskim, gdzie, niestety, najczęściej zamiast ziarnem, witają je śrutem lub sidłami.

Cztery wbite w ziemię paliki, podtrzymujące drążki pokryte sosnowemi gałęziami lub sitowiem, przedstawiają dostateczne schronisko od śniegu. By śniegu nie nawiało na miejsce, znajdujące się pod dachem, trzeba od strony północno-wschodniej postawić ścianę z gałęzi sosnowych. Poślednie ziarna wszelkiego gatunku zbóż mogą być użyte jako pokarm. Należy je wszakże rozsypywać razem z plewami, by kuropatwy miały sposobność do wyszukiwania i grzebania. Wszelkie drobne nasiona traw, rosnących w zbożach, są również bardzo cenne.

Takie same urządzenia wystarczają dla bażantów. Zarówno kuropatwy jak i bażanty potrzebują podczas głębokich śniegów ludzkiej opieki. Gdy śnieg jest puszysty, kuropatwy dokopują się aż do piór oziminy. Bażanty tego nie potrafia. Czasami przychodzi im z pomocą zając, rozgrzebując w nocy śnieg. Z nastaniem dnia na tych miejscach, prawie zawsze kuropatwy lub bażanty zastać można.

Odstrzał zbytecznych jeleni i sarn winien być skończony przed zima.

Strzelanie do tej zwierzyny przy paśnikach jest niedopuszczalne i w najwyższym stopniu niemyśliwskie.

O żelazach na lisy, kuny, tchórze i jastrzębie nie należy zapominać. Pierwsze śniegi ułatwiają bardzo tępienie drapieżników. Na białem tle jastrząb z łatwością dojrzy przynętę, założoną w żelaza. Lisy łatwo ściągać zawlokami do ukrytych potrzasków.

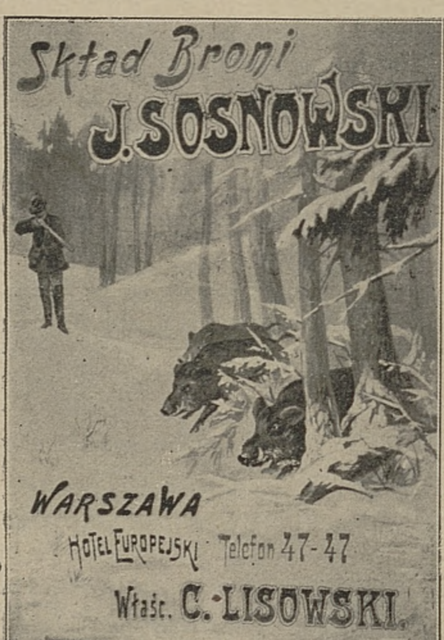
Inne drobne szkodniki łatwo wytropić i upolować lub schwytać w przeróżne pułapki.



Zakład został założony w 1840 roku, początkowo przy ulicy Długiej, Nowosenatorskiej, a obecnie sklep wraz z zakładem rusznikarskim znajduje się przy ulicy Trębackiej Nr. 7.

Założony został przez ś. p. Franciszka Torchalskiego, który wynalazł maszyny do wyrobu kul, zaopatrując w 63 roku powstańców w broń i amunicję.

Firma wykonywa odwrotną poczta wszelkie zamówienia na prowincję po cenach umiarkowanych i na dogodnych warunkach. Zakład rusznikarski jest prowadzony tak samo wzorowo i akuratnie, jak i za poprzedniego właściciela ś. p. Ryszarda Torchalskiego pod osobista dyrekcją Jana Torchalskiego, który jest kierownikiem od lat ośmiu.



Fabryka i skład broni p. f. **„J. SOSNOWSKI w WARSZAWIE"** istnieje od roku 1861 i prowadzona jest od początku swego istnienia przez specjalistów rusznikarzy.

Założyciel firmy **Jakób Sosnowski** był mistrzem Cechu Rusznikarskiego, jak i obecny właściciel **Czesław Lisowski,** którego 30-letnia ciągłość pracy fachowej w rusznikarstwie daje możność zastosowania w strzelbach najnowszych ulepszeń i wynalazków z dziedziny rusznikarstwa, oraz udzielania rad i wskazówek przy wyborze broni.

Strzelby znajdujące się w składzie broni p. f. **„J. Sosnowski w Warszawie"**, pochodzą z pierwszorzędnych fabryk, wykonane na specjalne zamówienia firmy, co jest zaznaczone na lufach (Fait puor la maison J. SOSNOWSKI à Varsovie).

Strzelby te, precyzyjnie wykonane, poddawane są specjalnym próbom, na co posiadają odpowiednie dokumenty, dają zupełną gwarancję doskonałości strzału i długoletniej wytrzymałości.

Firma **J. Sosnowski** w Warszawie w zupełności gwarantuje za każdą sprzedaną broń, na żądanie dołącza gwarancję piśmienną.

Rozstrzygnięcie konkursu.

Redakcja „Łowca Polskiego" w Nr. 17-ym z d. 1 września r. b., ogłosiła „wielki myśliwski konkurs fotograficzny", którego termin upłynął d. 20 października r. b.

Na konkurs ten nadeszły następujące fotografje:

I. Pod godłem „Lis":
1) Kłusownik pod Turbaczem.
2) Poleszuk niosący zabitego żórawia.

II. P. g. „W. N.":
3) Puzio na zaimprowizowanem berle. z wiosennych polowań z puhaczem. Przylasek Rusiecki—pów. Kraków.

III. P. g. „Miłośniczka polowania":
4) Młode pokolenie.
5) Śniadanie w lesie.

IV. P. g. „Jan z lasu":
6) Młodzi.
7) Atak drapieżców.

8) Towarzysze.
9) Rodzina.
10) Pierwszy dar września.
11) Powrót z nad stawu.
V. P. g. „Dzika kaczka":
12) W godowem pierzu.
13) Towarzysz polowań.
14) Pierwsza kaczka.
15) Po polowaniu.
16) Karmienie dzikich kaczek.
VI. P. g. „J. B. — 1926":
17) Uszczuty lis.
18) Gniazdko kuropatwy.
19) Udane polowanie.
20) W oczekiwaniu za panem.
21) Jesień.
VI. P. g. Tytuły:
22) „Polujący lis".
23) „Pierwszy odyniec".

Po za konkursem nadesłał dr. H. Malsburg, lekarz kolejowy w Gródku Jagiellońskim 6 zdjęć z nad stawu, bez tytułów.

Przynano nagrody:

I. Za Nr. 1 p. Adamowi Starzeńskiemu z Kościelca p. Chrzanowem w województwie Krakowskiem.

II za Nr. 3 p. Stanisławowi Leo.

III za Nr. 4 i Nr. 5 p. Melanji z Alkiewiczów Opielińskiej z Białężyc, p. Wrześnią w Wielkopolsce.

IV za Nr. 6 p. J. Marchlewskiemu z Krakowa.

Nagrody w postaci książek będą do odebrania w administracji pisma, lub też na żądanie zostaną wysłane pod wskazanym adresem.

Ponadto odznaczone zostały Nr. Nr. 7) i 8) p. J. Marchlewskiego z Krakowa, 12) i 13) d-ra Stanisława Łobosa z Dobromila w Małopolsce; 17) p. Józefa Bawikowskiego z Konarskiego, p. Książem w Wielkopolsce.

Od Redakcji.

W niniejszym ozdobnym numerze nie pomieszczamy dalszych ciągów artykułów z numeru poprzedniego. Ukaża się one w numerze następnym. Z powodu dużej ilości materjału i klisz konkursowych Redakcja zmuszoną jest odłożyć ciekawy artykuł p. Kruszewskiego o głuszcach, oraz interesującą odpowiedź p. Słonczyńskiego w sprawie broni, do następnego numeru.

Radom, dnia 21 października 1926 r.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Radomiu Nr. 2974 9/II.

OGŁOSZENIE.

Podaje się do wiadomości, że w dniu 9 listopada 1926 r. o godz. 1-szej po południu w lokalu Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu ul. Lubelska Nr. 53, odbędzie się konkurs za pomoca ofert pisemnych w zakrytych kopertach na oddanie w 6-cio letnią dzierżawę terenów łowieckich wymienionych w wykazie.

Oferty z podaniem oferowanej ceny na każdą poszczególną jednostkę licytacyjną w złotych, wypisanych słowami i liczbami, opłacone 2 zł. stemplem, składać należy do godz. 1-szej po południu do dnia 9 listopada 1926 r. w zakrytych kopertach z napisem: „do konkursu w dniu 9 listopada 1926 r."

Oferty ubezpiecza się vadium w kwocie 100 zł. w gotówce lub państwowych papierach procentowych.

№№ jedn. lic.	NAZWA TERENU	Powierz. w ha.	Cena za 1 ha.	Cena wywoławcza za całą jed. licn.
1.	Nadleśnictwo Garbatka Miodne i Sucha	zł. 3470	zł. 0.10	zł. 350
2.	Nadleśnictwo Jedlnia Zagożdżon	1440	0.10	145
3.	Nadleśnictwo Małomiorzyce Dziurków	1268	0.10	127
4.	Nadleśnictwo Małomiorzyce Świosiolice	1000	0.10	100
5.	Nadleśnictwo Radom Kępa Niemojewska	712	0.10	72
6.	Nadleśnictwo Radom Dobieszyn i Grabowy Las	2635	0.10	265
7.	Nadleśnictwo Skarżysko Majdów	2619	0.10	262
8.	Nadleśnictwo Skarżysko Majków	2632	0.10	264
9.	Nadleśnictwo Busk Potok, Rudki	1198	0.10	120
10.	Nadleśnictwo Busk Grzymała	1326	0.10	133
11.	Nadleśnictwo Busk Pińczów	326	0.10	33
12.	Nadleśnictwo Snochowice Dobrzeszów	1486	0.10	150
13.	Nadleśnictwo Snochowice Czartoszowa	1278	0.10	128
14.	Nadleśnictwo Snochowice Małogoszcz	1940	0.10	195
15.	Nadleśnictwo Włoszczowa Kęparzów	1162	0.10	117
16.	Nadleśnictwo Włoszczowa Koniczno, Motyczno	1003	0.10	100
17.	Nadleśnictwo Włoszczowa Żarnowiec I — 955 ha Żarnowiec II — 1221 ha	2176	0.10	218
18.	Nadleśnictwo Sandomierz Kloczanów	583	0.10	60
19.	Nadleśnictwo Sandomierz Osiek	1930	0.10	194
20.	Nadleśnictwo Sandomierz Hańcza	696	0.10	70

Dyrekcja Lasów Państwowych zastrzega sobie dowolny wybór ofert, prawo wyłączenia z konkursu poszczególnych terenów oraz poczynienia wszelkich zmian w niniejszem ogłoszeniu.

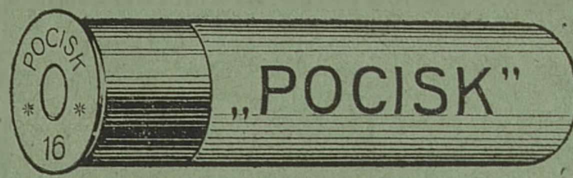
Dyrekcji przysługuje prawo wynik konkursu częściowo lub całkowicie odrzucić, każdy zaś utrzymujący się przy konkursie obowiązany jest w ciągu 14 dni od dnia zawiadomienia o zatwierdzeniu wyniku konkursu, zawrzeć umowę pdg. wzoru zatwierdzonego przez M. R. i D. P.

Wzór umowy przejrzeć można w Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu w godzinach urzędowych.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Radomiu.

KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. ADRES: NOWY - ŚWIAT Nr 35. TELEFON 7-98

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Juljan Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**



SPÓŁKA AKCYJNA

P O L E C A J Ą:

NABOJE MYŚLIWSKIE

Całkowicie w kraju wykonane, ładowane na elektro-automatach klb. 12, 16 i 20 angielski proch bez-dymny hartśrut we w s z y s t k i c h wielkościach.

oraz ŁUSKI (gilzy) myśliwskie

jedno i wielostrzałowe.

H U R T O W A   S P R Z E D A Ż

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE i INFORMACJI UDZIELA:

Biuro Zarządu „P O C I S K U“

Warszawa, Mińska 25

Tel. 3-85 do 3-88



Adres telegraficzny:

„WARSZAWA — POCISK“



PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł., kwartalna — 6 zł. Numer pojedyńczy — 1 zł. 20 gr.

CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 120; pół. — 70; ¼ — 40; ⅛ — 24; 1/16 — 12. Przed tekstem — o 50% drożej.

(Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej.)

Druk Zakładów Drukarskich W. Piekarniaka. Ordynacka 3.